623405 \65

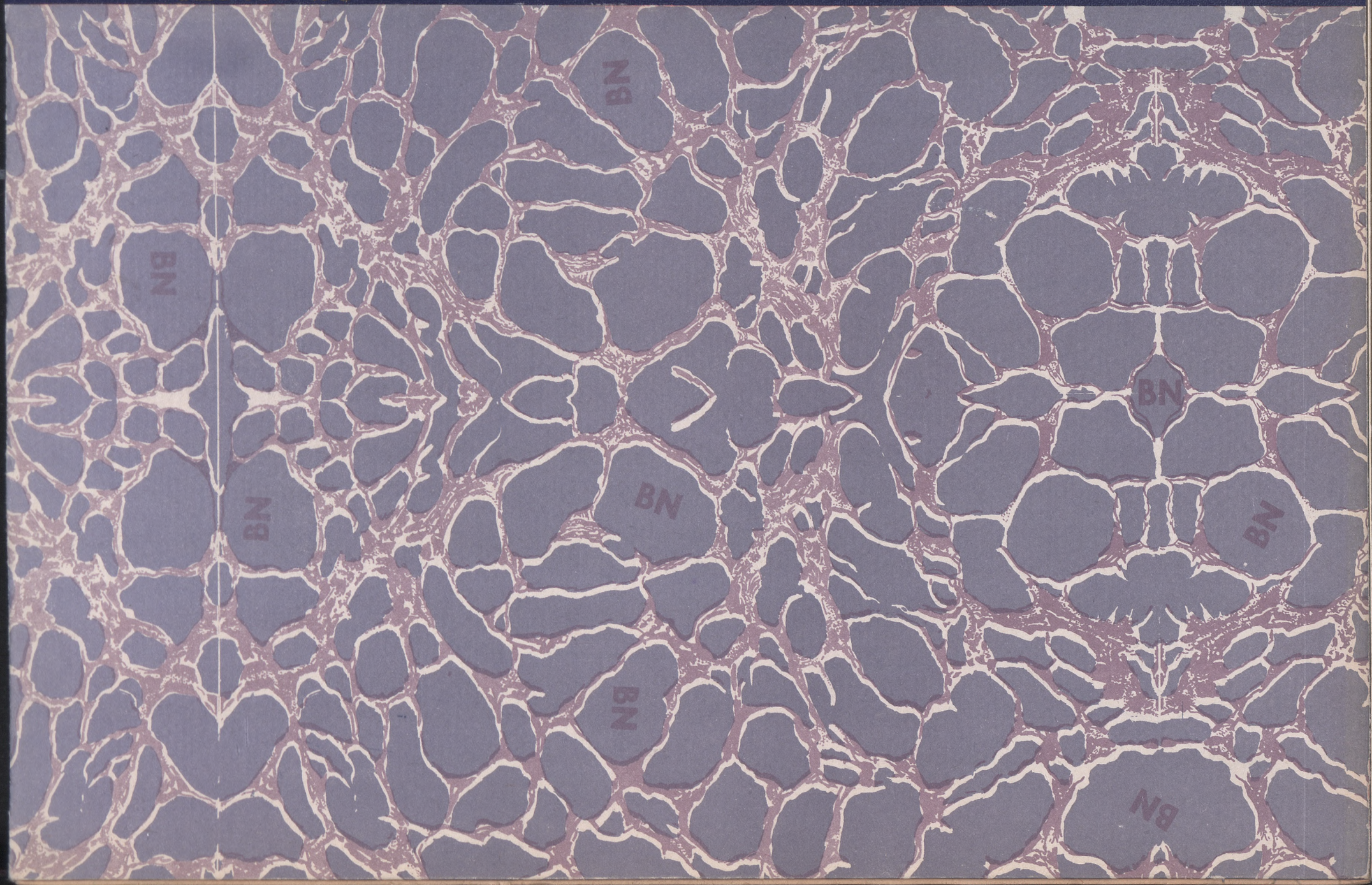

Nr. 65. Wtorek, dnia 4 kwietnia 1939 roku Cena 10 gr.

HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

KRÓLOWA TRAPEZU

HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Królowa trapezu

Bezpodstawny zakład

Klub Szermierzy w Londynie należał do najbardziej wytwornych i zamkniętych klubów w stolicy Anglii. Szlachetnego kunsztu władania szpadą, pałaszem lub floretem — mimo zanwy klubu— nie uprawiano tam zupełnie. Wielka sala klubowa możeby się doskonale do tego nadawała, gdyby nie to, że była miejscem innego rodzaju walk i rozgrywek, a mianowicie walk przy kartach.

W czytelniach, palarniach i innych pomieszczeniach, młodzi panowie w smokingach rozprawiali o wieściach z miasta i z salonów.

Lord Edward Spencer, dziedzic tytułu i fortuny po niedawno zmarłym ojcu rozprawiał właśnie o czymś gorąco z baronetem Charlie Billingtonem.

Tematem rozmów była piękna cyrkówka, popisująca się od niedawna w największym cyrku w stolicy.

—Twierdzisz — mówił lord, — że nie uda mi się zawrzeć znajomości z tą młodą damą?... Powiadasz, że wszelkie moje wysiłki będą daremne i że nawet nie zechce spojrzeć na mnie?

Baronet Billington jakby czekał na to wezwanie:

— Tak jest. Takiego jestem właśnie zdania. Miss Mercedes jest niedostępna, miss Mercedes nie jest zwykłą cyrkówką. Jest damą w całym tego słowa znaczeniu i radziłbym abyś się lepiej nie wysilał:

Młody lord zaperzył się:

— To są tylko historie o żelaznym wilku. Nie wierzę w nie zupełnie. Nie taki diabeł straszny jak go malują.

— A właśnie, że jeszcze straszniejszy. Sam znam wypadki, że ludzie bardzo zamożni, domagali się choćby zamiany jednego słowa z miss Mercedes, wystawali w hallu Regent Hotelu, gdzie mieszka, aby dostać od niej autograf. Wszystko na nic. Nie wyszła do nich, nie uśmiechnęła się do nich nawet.

— A do mnie się uśmiechnie — podniósł głos lord. — I jeżeli chcesz, możemy się o to założyć.

— O co właściwie?

— O to, że do mnie, a nie do ciebie, uśmiechnie się miss Mercedes, zwana królową trapezu.

Zanim przejdziemy do opisu dalszych wydarzeń oraz zanim podamy motywy, dla których ten zakład między dwoma arystokratami stał się nieistotny i bezprzedmiotowy — winniśmy zająć się nieco bliżej osobą owej Miss Mercedes i okolicznościami, w jakich stała się ona gwiazdą cyrku Chiniselliego.

Wypadek tego rodzaju wydarzył się dyrektorowi Chiniselliemu po raz pierwszy w życiu. Zwykł był o pierwszorzędne numery swego programu nieraz zabiegać, przywykł ponadto, że o obsadzenie numerów mniej atrakcyjnych zabiegali u niego agenci i artyści, ale by gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie sztuki cyrkowej pojawiła się takich warunkach jak miss Mercedes — to się jeszcze rutynowanemu i niemłodemu dyrektorowi nigdy nie zdarzyło.

Któregoś dnia, we wczesnych godzinach porannych, ktoś zapukał do gabinetu dyrektora. W progu stał niemłody już mężczyzna. Opodal stała młoda dziewczyna, odziana z wielką wytwornością, ale i prostotą zarazem — o porywającej wręcz piękności i delikatności rysów.

Oboje czynili wrażenie ludzi ze sfer dobrze sytuowanych.

— Czym mogę służyć panu? — zwrócił się dyrektor do nieznajomego.

— Chcieliśmy zaproponować panu nasze usługi, jesteśmy artystami cyrkowymi.

— Co robicie? Jaki jest wasz numer?

— Czy pozwoli pan dyrektor na małą próbę. Poco dużo mówić. Najlepiej od razu pokazać, co się umie.

Chiniselli miał zwyczaj nie odrzucania żadnej oferty nim się nie przekonał o jej niskiej wartości. Zresztą dziewczyna była bardzo piękna. Jeśliby choć była w części tak zdolną cyrkówką, jak była pięknym podlotkiem — numer byłby wspaniały...

Dyrektor spojrzał na zegarek:

— Za pół godziny jestem do waszej dyspozycji.

— Doskonale, przez ten czas przygotujemy się do popisu. Czy moglibyśmy dostać trapez, ale zawieszony na odpowiedniej wysokości?

— W cyrku miałoby nie być trapezu?... Reżyser wszystko załatwi. Proszę się do niego zwrócić.

Starszy pan i młoda dziewczyna, przez cały czas milcząca, wstali. Rozmowa prowadzona była

w języku angielskim, ale doświadczone ucho dyrektora cyrku, który w swym życiu bardzo wiele podróżował, odróżniło w mowie nieznajomego akcenty słowiańskie. Jakby ów towarzysz młodego dziewczęcia był Rosjaninem a może Serbem...

Po upływie pół godziny dyrektor wszedł na arenę.

Starszy pan stał już przy dużej szafie, ustawionej koło jednej z lóż, na samym obrzeżu areny.

Szafa ta niczym, na oko, nie różniła się od zwykłej, tyle tylko, że było na niej kilka sporych rozmiarów gałek.

Pośrodku manežu stała młoda dziewczyna. Odziana była w trykot granatowy wyszywany złotem, a wyglądała w nim jeszcze piękniej niż przed pół godziną w kostiumie spacerowym.

— Urocza! — pomyślał dyrektor. — Ale zaraz zobaczymy co potrafi. Jeżeli — niewiele, nie zatrzymam jej. Cyrk to nie galeria sztuk pięknych.

Obok stał reżyser.

Dyrektor zbliżył się do niego:

— Czy nie mówili panu jeszcze co to za numer? Jakiego rodzaju?

— Nie, — odparł reżyser, poczym zwrócił się do starszego mężczyzny: — Co pan ma w tej szafie? Jeżeli zwierzęta — to z góry pana uprzedzam, że takiego numeru nie potrzebujemy. Mamy aż za dużo tresury w tym programie.

— Nie, proszę pana, — rzekł nieznajomy. — Nie jesteśmy pogromcami i tresurą psów również się nie zajmujemy. Widzą panowie tę szafę?

— Oczywista.

— Czy znana jest panom wysokość, na jakiej jest zawieszony trapez?

— 47 metrów, ani centymetra mniej, ani więcej.

— Wolałbym, gdyby ta wysokość wynosiła bodaj sto dwadzieścia metrów, ale przecież kopuły cyrku i tak już wysokiej nie podwyższymy. Zatem 47 metrów.

Nieznajomy skinął na swą partnerkę.

Młoda dziewczyna zbliżyła się do szafy

— Hop! — padł okrzyk.

Jednym skokiem, niczym kot, znalazła się artystka na szafie.

— Trapez jest dobrze umocowany?

— Oczywista, — rzekł dyrektor.

— W takim razie — jazda! Czy jest pani gotowa, miss Mercedes.

Młoda i piękna dziewczyna skinęła tylko zlekka głową, po czym skupiła się w sobie i wreszcie klasnęła lekko w dłonie.

— Hop! — padło z jej ust.

W tej samej chwili nieznajomy nacisnął jeden z guzików na szafie, poczym rozległ się łoskot, jakby przytłumionego wystrzału. Wystrzelone z katapulty, ukrytej w szafie, ciało miss Mercedes wypłynęło pod kopułę cyrku.

— Hop! — padło znów z ust dziewczęcia.

Właśnie śmignęła koło trapezu. Wyciągnęła tylko ramiona, schwyciła w dłonie trapez i po chwili już się na nim z gracją i wdziękiem kołysała.

Wykonała teraz kilka ćwiczeń z niezrównaną wprawą i pewnością siebie.

Dyrektor Chiniselli i reżyser znali się na rzeczy umieli ocenić trudność każdego popisu akrobaty.

To, co pokazywała ta młoda dziewczyna należało do wyczynów jedynych w swoim rodzaju, to było wręcz unikatem w sztuce cyrkowej. Bo przecież, gdyby kierunek lotu ciała wystrzelonego z owej katapulty był źle obliczony — dziewczyna albo rozbiłaby się o pułap cyrku, albo też padłaby na piasek areny i tam znalazłaby śmierć niechybną.

Ćwiczenia na trapezie były również niebezpieczne i bardzo trudne. Dowodziły one dużego wyrobienia młodej dziewczyny i jej doskonale rozwiniętej muskulatury.

Artystka opuściła się po linie na arenę.

Dyrektor nie zwykł był komplementować artystów. Rzekł tedy krótko do obojga:

— Proszę ze mną do biura. Podpiszemy kontrakt.

Pozwoli pan, że najpierw odprowadzę miss Mercedes do jej garderoby. Muszę panu dyrektorowi zaznaczyć, że moja młoda partnerka zastrzega sobie traktowanie należne damie z towarzystwa.

— Cóż pan sądzi o moim zakładzie? — oburzył się dyrektor. — Mój cyrk—to nie buda jarmarczna, a moi artyści — to nie kuglarze wędrowni. Każdy artysta może być u mnie pewien należytego traktowania i pod tym względem jestem bardzo wymagający.

— To tym lepiej, tym lepiej... — powtórzył starszy mężczyzna, kierując się za swą pupilką do garderoby.

Chiniselli i jego reżyser udali się do biura dyrektora. Byli oszołomieni tym niezwykłym numerem. Z niecierpliwością czekali na przybycie nieznajomego, prawdopodobnie impresario młodej dziewczyny.

Po dziesięciu minutach już siedzieli za stołem we czworo. Piękna artystka znowu milczała.

— Jakie są pańskie warunki? — rzucił dyrektor. — Angażuję pana i panią do końca sezonu, a więc na cztery miesiące.

— Czy nie wyjeżdża pan, panie dyrektorze, w ciągu tych czterech miesięcy z Londynu? Czy cyrk pozostaje na miejscu?

— Tak jest. Pozostajemy do końca sezonu w stolicy.

—To bardzo dobrze. W takim razie poprosimy dla nas obojga o sto funtów honorarium.

Dyrektor spojrzał na swego reżysera. W oczach obu malowało się zdumienie. Sto funtów?... Przecież taki numer wart był dziesięć razy tyle.

Chiniselli nie lubił wyzyskiwać ludzi. Zresztą już po kilku dniach dowiedziałby się artysta, że ma krzywdę i że jest za mało płatny.

— Dam panu i tej pani nie sto a pięćset funtów. Nie chcę, aby potem tę sumę proponowała panu konkurencja. Gdzie państwo przed tym pracowali?

Starszy człowiek zawahał się.

— Na... kontynencie, — rzekł wymijająco.

— Mniejsza zresztą o to. Zatrzymuję pana i panią. Piszemy kontrakt, panie reżyserze.

— Jak pana nazwisko — zwrócił się reżyser do starszego człowieka, wyjmując odpowiedni druk z jednej z szufald.

— Nazywam się Mikołaj Michajłow.

— Jest pan zatem Rosjaninem.

— Tak — szepnął nieznajomy.

— A jak nazwisko tej pani?

— Mniejsza o to. Proszę wpisać: Miss Mercedes. Ręczę za wykonanie kontraktu.

— All right! — rzekł reżyser. — Proszę tu podpisać kontrakt. Dyrektor podpisze zaraz po panu.

— Chwileczkę — rzucił Michajłow. — Mam

jeszcze jeden warunek. Warunek dla nas niedzowny.

— Aha — mruknął dyrektor — zaczynają się warunki. Słucham pana, o jakie to warunki chodzi?

— O jeden warunek, tylko. Nasze loże muszą być przyległe, okna w pokoju mej partnerki i uczenicy muszą być stale zasłonięte i na drzwiach domagamy się kotary. Miss Mercedes zastrzega sobie, że nikogo nie przyjmie, wywiadów nie udziela i udzielać się ani publiczności ani kolegom nie będzie. Do loży mej partnerki nikt wstępu mieć nie będzie, nawet pan dyrektor. Czy zgadza się pan na te warunki, dyrektorze?

Dyrektor i reżyser znów porozumieli się spojrzeniem.

— Zgadzam się na te warunki, oczywista, że się zgadzam. Sam pan sobie lożę swej partnerki zabezpieczy według swego życzenia

Kontrakt został podpisany.

— Czy potrzeba panu zaliczki?

Podczas, gdy Rosjanin jakby się krępował, czy o nią prosić, dyrektor wręczył mu banknot stufuntowy.

*

Po trzech dniach odbył się debiut fenomenalnej miss Mercedes. Po czterech dniach cały Londyn nie mówił o niczym innym, jak o niezwykłej atrakcji w cyrku Chiniselliego.

Młoda artystka i jej partner mieli powodzenie, dotąd nie notowane.

Ale ani frenetyczne oklaski publiczności, ani hołdy najwytworniejszych i najbogatszych arystokratów Londynu — nie zdołały wyrwać młodej i pięknej dziewczyny z jej zwykłej rezerwy.

Unikała wszystkich. Zgodziła się raz jeden tylko na udział w kiermaszu dobroczynnym, wydanym przez grono pań ze sfer arystokratycznych. Była milcząca przez cały czas i tylko jej uroda niezwykła jaśniała w całej pełni, ściągając do jej kiosku najwięcej kupujących.

Nieprzystępność młodej dziewczyny i jej stałe milczenie wywołały szereg najrozmaitszych plotek.

Mówiono, że Michajłow „wynajął" ją od jej rodziców, biednych chłopków, na dwadzieścia lat i że piękną dziewczynę niemiłosiernie eksploatuje. Mówiono i odwrotnie: że to ona ma go w jakiejś dziwnej władzy i czyni z nim co tylko zapragnie.

Nic tedy dziwnego, że w „Klubie Szermierzy" dwaj przyjaciele prowadzili ową ożywioną rozmowę, od której zaczęliśmy nasze powiadanie.

— Zatem — zapalił się już na dobre lord — powiadasz, mój drogi Billington, że miss Mercedes nie uśmiechnie się nawet do mnie.

— Tak jest. Tak twierdzę.

— Jestem w takim razie gotów założyć się o dziesięć tysięcy funtów, że od dziś za tydzień przedstawię cię jej w restauracji hotelu Savoy, do której wejdę, prowadząc ją pod ramię i że dzięki mojej protekcji będziesz mógł ucałować czubki jej paluszków. Zakładasz się?

— Zakładam!

Przyjaciele już wyciągnęli do siebie dłonie, gdy z fotelu opodal uniósł się gentleman już nie młody o rysach pełnych energii i wysokim czole. Zbliżył się do obu przyjaciół i rzekł do nich z uśmiechem.

— Stop, panowie. Proszę się jeszcze nie zakładać... Chodzi o Miss Mercedes, o ile dobrze i oczywista mimowoli, usłyszałem?

— Tak, o miss Mercedes.

— Lord twierdzi, że zdobędzie względy tej młodej damy. Czy nie tak?

— Tak jest.

— A ja — rzekł trzeci — jestem zdania, że jej względów nie zdobędzie i nawet przestanie o nie zabiegać.

— A to dlaczego, Mr. Dickson?

Wielki detektyw, gdyż on był owym wysokim i niemłodym gentlemanem o energicznych rysach twarzy, roześmiał się serdecznie.

— Czy cały Londyn nagle zaniewidział? — śmiał się Dickson. — Czy jakieś bielmo padło na oczy tłumów... A może to masowa sugestia?...

— O czym pan mówi, Mr. Dickson. Dlaczego ja sam — niecierpliwił się lord — z własnej i nieprzymuszonej woli, miałbym odstąpić od myśli zdobycia względów pięknej cyrkówki?

— Dlaczego?... — powtórzył detektyw. — Dlaczego?... Powiem panom dlaczego. Oto dla tej prostej przyczyny, że Miss Mercedes nie jest młodą i piękną dziewczyną, lecz jest przebranym mężczyzną. Właściwie przebranym wyrostkiem.

Zbrodnia pod kopułą cyrku

Rozmowie tej przysłuchiwało się większe grono członków klubu.

Usłyszawszy z ust słynnego detektywa tak niesłychaną rewelację, wszyscy zamilkli w bezgranicznym zdumieniu.

— Ależ to są bajki! — zaperzył się lord Spencer. — Pan żartuje, Mr. Dickson. Billington, prawda że to niemożliwe?

— Czy ja wiem?... Jeżeli Harry Dickson mówi to na serio...

— Mówię najzupełniej serio i ponoszę za swe słowa całkowitą odpowiedzialność — rzekł detektyw — i dziwię się, że zaślepieni w urodzie tej rzekomej młodej dziewczyny nie potrafili panowie do tej chwili zauważyć, że jest to wyrostek. Dlatego właśnie prowadzi ona tak zamknięty tryb życia i dlatego jest taka milcząca. Zresztą uważam, że nawet sama produkcja, którą się ta rzekoma dziewczyna popisuje jest dla podlotka niedostępna. Na to trzeba męskiej siły i — zdaje mi się — męskiej zimnej krwi. Zwłaszcza, gdy chwyta trapez w locie — wtedy widać dobrze jej muskulaturę i budowę ramienia. To nie jest ramię kobiece, ani to nie są palce kobiece. Byłem trzy razy w cyrku i obecnie nie mam najmniejszej w tej mierze wątpliwości.

— A włosy?... Jej, czy też jego przepiękne jasno-blond włosy — wołał nie bez rozpaczy w głosie lord Spencer.

— Włosy?... Przecież, czy każdemu z nas, oprócz łysych — uśmiechnął się detektyw — gdybyśmy się nie strzygli, nie urosłyby włosy tak samo, jak rosną kobietom?...

— A twarz? Jej urocza dziewczęca twarzyczka?...

— Na to są sposoby!... Rysy musi mieć ten chłopiec regularne, ale piękność zeń potrafi zrobić każdy zdolny charakteryzator, jakich nie brak ani w Scotland Yardzie, ani w teatrze, ani w świecie podziemnym. Już mi się parę razy zdarzało, że nie mogłem znaleźć złoczyńcy, bo ukrywał się pod damskim przebraniem.

— Przepraszam pana — rzekł lord Spencer — mówił pan o przestępcy. Chyba nie dopatrzył się pan w tej młodej dziewczynie jakiegoś słynnego kasiarza, czy bandyty w przebraniu kobiecym? Jakie

motywy mogły skłonić „ją“, czy „jego“ do takiego przebrania?

— Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć z całą pewnością, ale wydaje mi się, że menażer tej dziewczyny, stosuje tutaj to przebranie tylko dlatego, aby wydostać większe honorarium. Ładna i młoda dziewczyna zawsze jest przez publiczność milej widziana, niż młody chłopak. Może zresztą mają jeszcze inne względy na uwadze...

— Dlaczego ich pan zatem nie demaskuje?

— Bo to do mnie nie należy. Skoro nie czynią nic złego?...

— Nie powiem, aby to były środki uczciwe... — rzekł lord urażony. — Panowie — zwrócił się do obecnych — idziemy do cyrku! Przedstawienie zaraz się zaczyna. Przekonamy się na własne oczy. Billington, idziesz ze mną?

— Ma się rozumieć!

— Pan pójdzie z nami również, Mr. Dickson?

— Jeżeli panowie sobie życzą... Choć już po trzech razach miałbym tego programu dosyć... Ale czego się nie robi dla towarzystwa...

Lord skinął na lokaja i rzucił krótko:

— Mój wóz, proszę!

Po minucie woźny zaanonsował:

— Auto jego wysokości już czeka!

Po dziesięciu minutach kierowali się członkowie „Klubu Szermierzy“ do lóż, z których akurat dwie były jeszcze wolne.

Właśnie pogromca Bally kończył swój popis z tresowanymi słoniami.

Wielki Jumbo przejechał przez arenę na rowerze przy salwie oklasków.

— Udało nam się — zauważył sir Billington. — Właśnie następny numer programu — to „Miss Mercedes — królowa trapezu“.

Trapez został opuszczony zupełnie nisko Clown, w szacie którego występował Michajłow, poddał dokładnym oględzinom sznur i drążek, zbadał umocowania i wiązania.

Stwierdziwszy, że aparat jest w zupełnym porządku, clown dał znak licznym wygalonowanym lokajom i trapez został wciągnięty pod kopułę.

— „47 metrów“ — głosił transparent, umocowany nad trapezem.

Clown zbliżył się teraz do szafy, ustawionej akurat tuż koło loży lorda Spencera i Dicksona.

Detektyw ze skupioną uwagą obserwował Michajłowa. Nie był w stanie dojrzeć jego rysów, gdyż gruba powierzchnia szminki i specjalna charakteryzacja zmieniały całkowicie jego rysy.

Orkiestra zaintonowała lekkiego walca. Tanecznym, powiewnym krokiem wpłynęła niemal na arenę Miss Mercedes.

Powitał ją huragan oklasków.

Podeszła do szafy i, omijając schodki, jednym skokiem znalazła się na jej szczycie.

Oślepiające światło reflektorów padło teraz na artystkę.

Muzyka poczęła milknąć; po kilku chwilach, na znak kapelmistrza, orkiestra urwała nagle.

Cisza zapanowała w cyrku kompletna. Gdyby mucha przeleciała pod kopułą, byłoby jej brzęczenie na najdalszych miejscach słychać.

Miss Mercedes wyjęła chusteczkę i otarła nią twarz.

— Ready! — Czy gotowe? — rzucił Michajłow.

Młoda dziewczyna skinęła głową. Potem powoli podniosła dłonie i powoli je do siebie zbliżała. Wreszcie klasnęła głośno.

— Hep! — padł z jej ust krótki okrzyk.

I w tej samej chwili Miss Mercedes wyleciała ku górze.

— Brawo! Cudownie! — zachwycali się Billington i Spencer. — Już schwyciła trapez.

Istotnie już jej palce zamknęły się wokół drążka, a ciało kołysało się, przewieszone przez pół na trapezie.

— I pan powiada — szepnął lord do Dicksona — że to nie dziewczyna. — Proszę, niech pan spojrzy na jej ramiona — —

Tego zdania młody arystokrata nie dokończył...

Bo oto w tej samej chwili przez cyrk przeszedł krzyk przeraźliwy, wyrwany jednocześnie z tysiąca piersi.

Sznur u trapezu urwał się! Drążek wyślizgnął się z rąk artystki. Kilka ruchów gwałtownych, kilka prób zachowania równowagi, schwycenia drugiego sznura i wszystko na nic...

Z głuchym łoskotem padła Miss Mercedes na piasek areny.

Na widowni powstała panika. Ludzie rzucili się ku wyjściu, jakby im coś groziło. Kilka kobiet zemdlało.

Dla wszystkich stało się w jednej chwili rzeczą jasną, że tylko zbrodnicza ręka mogła spowodować zerwanie się sznura.

— Policja! Na pomoc! — wołali ludzie jeden przez drugiego.

Harry Dickson pierwszy znalazł się na arenie.

Niemal w tej samej chwili co i Michajłow, rzucił się detektyw na pomoc w kierunku leżącej bez ruchu miss Mercedes.

Rosjanin stracił zupełnie głowę. Krzyczał, spazmował i załamywał ręce.

— Niechże się pan uspokoi — zwrócił się doń detektyw. — Może jeszcze nie wszystko stracone.

Ale gdy detektyw przyłożył ucho do piersi rannej, gdy spojrzał na bladość twarzy — zdał sobie sprawę, że jednak wszystko jest już stracone.

Kilku lekarzy zbliżyło się do leżącej.

Dickson zatrzymał ich gestem:

— Nie tutaj, panowie. Przeniesiemy denatkę do loży, tam się nią panowie zajmą. Do jej loży za kulisami!

Ludzie podnieśli bezwładne ciało. Reżyser zajął się Michajłowem, który był bliski obłędu.

Do loży artystki dopuszczono lekarzy, dyrektora cyrku oraz lorda Spencera i sir Billingtona, którzy usilnie prosili Dicksona, aby im pozwolił być przy badaniu.

Dickson zwrócił się do lekarzy, prosząc, aby zajęli się miss Mercedes.

Dyrektor Chiniselli spojrzał na Dicksona groźnie:

— Jakim prawem wydaje pan tutaj rozkazy! — irytował się dyrektor. — Kto pan jest?

Dickson uśmiechnął się:

— Przepraszam, że zapomniałem się przedstawić. Jestem Harry Dickson.

— O! — to ja pana przepraszam stokrotnie — sumitował się dyrektor. — Jestem bardzo rad, że sprawa znajdzie się właśnie w pana rękach, bo mi na udziale policji wcale nie zależy.

— Zdaje mi się, że, niestety, policja będzie musiała się tą sprawą zająć. Na razie jednak niech się wypowiedzą panowie lekarze.

Podczas, gdy lekarze pochylili się nad ciałem, już sztywnym i nieruchomym, detektyw podszedł

do umywalni i przejrzał najdujące się nad nią, na szklanej półeczce drobiazgi.

Po chwili Dickson skinął na lorda i Billingtona.

— Widzą panowie?...

— Co takiego? — szepnęli obaj.

— Maszynkę do golenia.

Obaj dostrzegli maszynkę jednocześnie.

— Rzeczywiście!

— O ile mi wiadomo — rzekł Dickson — artystki cyrkowe takiego aparatu nie używają. Czy panowie mają jeszcze jakieś wątpliwości co do płci rzekomej miss Mercedes? Jeżeli nie, to proszę spojrzeć na lekarzy, jak są zakłopotani.

— Panie dyrektorze — zwrócił się właśnie w tej chwili do dyrektora jeden z lekarzy. — Musimy panu zakomunikować, że pacjent nie żyje. Musimy dodać ponadto, że miss Mercedes była mężczyzną, był młodym człowiekiem, występującym w przebraniu kobiecym.

— Co!... Co panowie mówią!!

Dyrektor otworzył wielkie oczy.

— Mężczyzna? Zwykły mężczyzna?

— Tak jest. Młody mężczyzna, wyrostek, mniej więcej osiemnastoletni.

— Panowie — rozpoczął dyrektor tonem uroczystym. — Daję panom słowo honoru, że nie tylko o tym przebraniu nie wiedziałem, ale go ani przez chwilę nie podejrzewałem. Ja, stary wróbel, dałem się tak nabrać...

Dyrektor podbiegł do drzwi i rzucił do jednego z lokai: — Sprowadzić tu Michajłowa! Duchem!

Zapłakany, wystraszony clown zjawił się w loży.

— Panie Michajłow! — krzyczał prawie dyrektor. — Powiedz pan panom doktorom, czy ja mogłem wiedzieć o przebraniu miss Mercedes?

— Nie, nie mógł pan wiedzieć. Przecież to była nasza tajemnica, moja i mego kochanego młodego przyjaciela. Ale, niestety, stała się ona widać tajemnicą naszych wrogów... Na nic moje środki konspiracyjne!

— Więc pan mnie oszukał, panie Michajłow! — pienił się dyrektor.

— Na czym polegać miało to oszustwo? Najwyżej, gdyby się pan dowiedział, że Mercedes jest młodym człowiekiem — numer podobałby się panu jeszcze więcej... Ukrywałem ten szczegół, ważny może dla kogo innego, ale nie dla pana...

Nie można było nie przyznać racji tym wywodom złamanego rozpaczą człowieka. Uznał je i Chiniselli.

— Mniejsza o to — rzekł dyrektor już znacznie spokojniejszym tonem. — To są może rzeczywiście pańskie osobiste sprawy. Ale czy pan nie uważa za właściwe wyjaśnić motywów tej tragedii?

Rosjanin skinął potakująco głową:

— Tak jest. Podam je panu. Ale na osobności. I przed tym chciałbym pomówić w cztery oczy z tym, tutaj, panem.

Michajłow wskazał na Harry Dicksona.

— Jeżeli pan chce poradzić się Harry Dicksona, to mogę tylko panu powinszować wyboru. Mr. Dickson już zadecyduje później o wszystkim.

— Tak jest. Mr. Dickson zadecyduje. Mr. Dickson pomoże mi i wykryjemy sprawców tej strasznej zbrodni. Odnajdziemy zbrodniarza, który w sposób w pierwszej chwili niewidoczny przeciął sznury. Że też ja tego nie spostrzegłem!... Nigdy sobie tego nie wybaczę!

Nieszczęśliwy nagle począł łkać i rzucił się na ciało zmarłego.

Jeden z lekarzy uniósł Michajłowa.

— Odwagi, panie! Co się stało, już się nie odstanie. Poprosimy pana o nazwisko zmarłego. Musimy sporządzić akt zejścia. Czy to syn pański?

Clown najpierw spojrzał na detektywa, jakby z jego oczu chciał wyczytać zezwolenie, czy ma mówić. Dickson skinął zlekka głową.

— Nie, panowie — rzekł poprzez łzy Michajłow — ten młody człowiek nie był moim synem, choć kochałem go miłością na pewno ojcowską. Zmarły nazywał się książę Włodzimierz Borotin!

Obecni nie spodziewali się, że usłyszą nazwisko jednego z najgłośniejszych rodów przedrewolucyjnej Rosji.

Usłyszawszy to nazwisko — zwrócił się z kolei do obecnych Harry Dickson:

— Czy nie zechcieliby panowie zostawić nas samych?... Mam wrażenie, że mr. Michajłow chciałby ze mną pomówić o sprawach, które muszą pozostać w tajemnicy. Co będzie można — nie omieszkam panom zakomunikować...

Wszyscy wyszli. Lord Spencer pokiwał żałośnie głową, gdy przechodził koło śmiertelnych szczątków młodego człowieka, który dla całego Londynu był „Miss Mercedes, królowa trapezu"

Zemsta

— Jesteśmy sami — rzekł Harry Dickson — zamykając drzwi na klucz. — Niech się pan uspokoi i opowie mi wszystko jak najdokładniej.

— Niczego więcej nie pragnę — westchnął Michajłow. — Musi mi jednak pan przyrzec, że bez porozumienia się ze mną, nie zdradzi mych tajemnic.

— Przyrzekam to panu. Ale mam nadzieję, że nie będzie mi pan stał na drodze i umożliwi pełnienie mego zadania: walki ze zbrodnią.

— Gdyby pan mógł odnaleźć zbrodniarzy, którzy zabili mego ukochanego księcia... Przecież i ja do tego dążę.

— Zatem ten nieszczęśliwy młody człowiek był istotnie księciem Borotinem?

— Tak jest. Był ostatnim ze swego rodu... Ale jak ja doniosę o tym strasznym ciosie jego matce?...

— Matki z nim razem nie było?...

— Nie.

— A o tak dziwnym conajmniej zajęciu księżna nie wiedziała?

— Owszem, wiedziała.

— I godziła się z tym? Nie oponowała?

— Musiała się zgodzić. Nie miała innego wyjścia. Był to jedyny sposób, aby go uratować, aby go ocalić od śmierci. Ale odnaleźli go mimo to. I zabili go, nędznicy! Zabili mego ukochanego Włodzimierza. Mego ucznia najdroższego!...

Dickson położył dłoń na ramieniu Michajłowa.

— Niech-że się pan opanuje i proszę zacząć od początku. Dlaczego musiał się książę ukrywać? Kto godził na jego życie?...

— Przed pięciu laty — zaczął po dłuższej pauzie Rosjanin — zmarł książę Cyryl Borotin. Młody Włodzimierz przejął ojcowiznę i bardzo ciężkie z nią obowiązki. Ciężkie były te obowiązki dlatego, że Włodzimierz stał się nagle panem wielkich włości, tak wielkich, jak niejedno małe państewko europejskie, że tysiące ludzi stało się odeń zależnych i podlegało jego władzy.

Byłem wtedy nauczycielem młodego księcia. Pracowałem naukowo, byłem docentem na uniwersytecie w Kazaniu, i książę - ojciec specjalnie mnie zaangażował do swego domu.

Gdy książę czuł się słaby wezwał mnie do siebie i polecił swego syna mej opiece. Był potem już na łożu śmierci i znów mnie prosił, abym nigdy jego syna nie opuszczał. Zrobił zapis na moją rzecz, zapewniający mi niezależność do końca życia i prosił, abym już do końca dni moich czuwał nad jego synem. Przysiągłem mu, że tak się stanie.

Michajłow westchnął:

— Stało się tak, ale zamiast, żebym ja zmarł, jako człowiek już prawie stary — umarł mój młody najukochańszy uczeń...

— Słucham pana dalej — rzekł detektyw.

— Włodzimierz — ciągnął Rosjanin — był bardzo wrażliwym i subtelnym dzieckiem. Był czuły na niedolę ludzką, pomagał biednym, jak tylko mógł i nieraz mówił, iż na świecie jest wielka niesprawiedliwość, skoro jeden posiada wielkie majątki, a drugi nie ma gdzie głowy do snu ułożyć.

Powoli doszło do tego, że mój młody uczeń, syn jednego z najbogatszych arystokratów rosyjskich, począł krytykować ustrój monarchiczny, że rozmyślał nad innym porządkiem świata, aż wreszcie z przerażeniem stwierdziłem, że zamiast — jak jego przodkowie — stać u boku swego cara i walczyć i pracować o wielkość carskiej Rosji — stał się wrogiem caratu. Nie wiem, kto i kiedy zdołał na niego taki wpływ wywrzeć. Faktem jest, że stał się zagorzałym republikaninem.

Któregoś dna, gdym jeszcze nie mógł młodego księcia o nic podejrzewać — oświadczył mi, że chciałby pojechać do Petrogradu.

Nie odmówiłem mu. Przeciwnie, zależało mi, aby się chłopiec trochę rozerwał.

I oto właśnie w Petrogradzie nastąpił cios, którego księżna omal nie przypłaciła życiem. Młody Włodzimierz został aresztowany. Zatrzymano go na zebraniu republikanów rosyjskich. Ujęto go wraz ze spiskowcami na życie cara!

Groziło mu zesłanie na Syberię.

Książę-ojciec był wielce zasłużony i cieszył się zaufaniem na dworze. Poruszyliśmy wszystkie sprężyny, aby chłopca uwolnić.

Wreszcie wyjednaliśmy jedno: minister sprawiedliwości zgodził się zwolnić go bodaj w ostatniej chwili, jeśli poda nazwiska innych, jeśli zdradzi organizację.

— Obawiam się — rzekłem wtedy do ministra — że Włodzimierz Cyrylewicz nie zgodzi się na ten warunek. Jest na to za szlachetny i za prawy.

— W takim razie poniesie wszystkie konsekwencje swej młodzieńczej lekkomyślności, jak to pan nazywa — odparł minister.

Błagałem Włodzimierza, aby się na ten warunek zgodził. Ale chłopiec, który bladł i marniał w więzieniu był niewzruszony. Nie chciał o niczym słyszeć.

Uprzedziłem go, że czeka go zesłanie do kopalń syberyjskich. Chłopca dreszcz przeszedł, ale nie ustąpił.

Nadszedł wreszcie dzień odjazdu.

Grupa wyrafinowanych przestępców, morderców, fałszerzy pieniędzy i oszustów czekała już, aby się skierować na stację. Wraz z nimi był mój pupil.

Po raz ostatni zbliżył się setnik do młodego człowieka i zapytał go, czy nie zamierza złożyć zeznań.

Włodzimierz znów odmówił.

Padł rozkaz. Oddział ruszył powoli przez miasto. Każdy z zesłańców miał skute ręce. Szli w szarych ubraniach więziennych, a na ich czele kroczył książę Borotin.

Czego nie dokonały perswazje i prośby — to sprawił wstyd, Włodzimierz nie umiał przejść z podniesioną głową przez miasto. Załamał się i oświadczył, że powie wszystko.

Setnik momentalnie rozkuł go.

Po kilku godzinach, po złożeniu zeznań i podpisaniu zobowiązania, że wyrzeka się działalności politycznej — Włodzimierz książę Borotin znalazł się na wolności.

Od tej chwili musieliśmy się stale ukrywać, ponieważ spiskowcy wydali na księcia wyrok śmierci.

Właśnie w tym czasie nastąpił przewrót w Rosji.

Jako Sergo i Lew Dalingarian, dwaj Gruzini, zdołaliśmy się wydostać z kraju za granicę. Po licznych trudnościach i długiej tułaczce znaleźliśmy się wreszcie w Szwajcarii. Zatrzymaliśmy się w małym hotelu, w odludziu górskim. Czuliśmy się tam bezpieczni i spokojni. Odbywaliśmy długie spacery, nieraz wychodziliśmy z pensjonatu na wycieczki kilkudniowe. Pupil mój uczył się ponadto pilnie.

Aż oto któregoś dnia, gdyśmy obchodzili występ skalny, rozległy się w ciszy górskiej strzały. Kule były skierowane przeciwko Włodzimierzowi, ale na szczęście chybiły.

Zrozumiałem wszystko. Nasi wrogowie odkryli siedzibę księcia. Tego samego dnia opuściliśmy Szwajcarię.

Znaleźliśmy się w Paryżu.

Zdawało nam się, że w tym mrowisku ludzkim, w tym gąszczu, gdzie kilka milionów ludzi żyje i cierpi obok siebie, rodzi się, cieszy i umiera — i dla nas znajdzie się jakieś miejsce, gwarantujące spokój.

Niestety, już po dwóch tygodniach naszego pobytu w Paryżu, dokonano na księcia potwornego zamachu.

Włodzimierz przywiózł ze sobą ze Szwajcarii psa z gór Św. Bernarda. Lubił tego dobrotliwego olbrzyma serdecznie i co rano dawał mu kawałek czekolady.

Gdy owego poranka pies ugryzł kawałek czekolady — począł wyć przeraźliwie i zdechł wkrótce w strasznych męczarniach. Sekcja wykazała w żołądku zwierzęcia aresznik w takiej ilości, że mógł by zatruć śmiertelnie aż trzy dorosłe osoby.

Dochodzenie nie dało żadnego rezultatu.

Trzeba było znów ratować się ucieczką. Po kilku dniach znaleźliśmy się w Egipcie.

Przez kilka miesięcy pobytu w Kairze zażywaliśmy całkowitego spokoju. Ale nagle widać znów się o nas dowiedzieli, bo oto któregoś dnia jakiś człowiek, w przebraniu derwisza, zaatakował księcia w wąskiej uliczce i usiłował mu wbić sztylet w serce. Na szczęście, ostrze natrafiło na grubą złotą papierośnicę i dzięki temu zamach się nie udał.

Zrozumiałem wtedy, że nasi wrogowie odnajdą nas wszędzie, że nie uda nam się nigdy i nigdzie ujść z ich rąk.

I właśnie wtedy wpadłem na ów pomysł przebrania chłopca za cyrkówkę.

Włodzimierz był niezrównanym gimnastykiem. Ja sam znałem się również dobrze na zasadach gimnastyki, ponadto jestem inżynierem.

Opracowałem ów numer akrobatyczny i sam skonstruowałem katapultę.

Po wyjeździe z Kairu, Włodzimierz przeobraził się w Mercedes.

Mieliśmy wielkie powodzenie. Byłem przekonany, że już teraz jestem poza wszelkim niebezpieczeństwem. Niestety — stało się inaczej...

Michajłow ukrył twarz w dłoni i długo łkał...

— Mówi pan, — zwrócił się doń Dickson, —że sznury zostały zbadane przed tragedią dokładnie? Czy tak było istotnie?

— Oczywista. Ja sam je sprawdzałem. Nie zauważyłem nic podejrzanego.

— A czy nie jest rzeczą możliwą, że sznury były już stare i zleżałe?

— Sznury były zmieniane co tydzień. Dyrektor i reżyser sami tego wymagali.

— Będziemy musieli zbadać trapez i liny. Może pan ze mną pozwoli, — rzekł detektyw.

Dickson długo przyglądał się przez lupę miejscu rozdarcia lin.

— Sznury były rozcięte, były raczej nadcięte brzytwą. Proszę, niech pan sprawdzi, — rzekł Dickson, wręczając lupę profesorowi.—Widzi pan?

— Tak jest.

—Zatem mamy już dowód niezłomny, że jakaś zbrodnicza ręka dostała się przed przedstawieniem do cyrku i nacięła liny. Czy nie ma pan żadnych podejrzeń, czy nie zauważył pan, aby ktoś starał się zbliżyć do księcia?

— Nie. Byliśmy zawsze razem. Wiedliśmy tryb życia zamknięty.

— Sprawa jest trudna, istotnie — zamyślił się Dickson. — Ale nie opuszczajmy rąk. Niewątpliwie sprawcą jest Rosjanin. To jest chyba zupełnie pewne. Trzeba będzie się rozejrzeć w kołach emigrantów. Tymczasem poproszę pana, profesorze Michajłow, aby zechciał pan jak najprędzej wyprowadzić się z hotelu i aby pan zamieszkał najlepiej przy rodzinie.

— Nie wolno mi wyjechać z Londynu? — zaniepokoił się Rosjanin.

— Na razie, napewno nie. Władze będą pana potrzebowały.

— Chciałem przewieźć ciało mego ucznia do Rosji, do jego nieszczęśliwej matki.

— Wątpię, czy uzyska pan zezwolenie od policji. Na razie radziłbym panu pochować zwłoki w Londynie i zastosować się do moich wskazówek. Wspólnymi siłami może nam się uda odnaleźć mordercę młodego księcia.

— Jeżeli pan tak sobie życzy, — rzekł Michajłow... — Jeśli tak być musi...

— Poda mi pan niezwłocznie swój nowy adres.

— Oczywista.

— To bardzo dobrze. I proszę się uzbroić w męstwo. Czeka nas ciężka walka. Mam jednak nadzieję, że odniesiemy zwycięstwo.

Dickson uścisnął dłoń byłego clowna, w istocie zaś docenta uniwersytetu kazańskiego i opuścił cyrk Chiniselliego.

Pozostawszy sam na sam z ciałem swego ukochanego ucznia — Michajłow padł na pierś zmarłego i teraz dopiero wypłakał się głęboko.

Skarb niedostępny

Mr. Dickson! Na litość Boską, niech mi pan pomoże. Niech mnie pan ratuje!

Z tymi słowami, krzycząc i gestykulując, wpadł do jadalni, w której Harry Dickson i jego uczeń Tom Wills siedzieli przy śniadaniu za stołem, jakiś niemłody już człowiek o szpakowatej bródce.

Detektyw wstał od stołu.

— Witam pana, Mr. Pratt, co się stało? Co pana tak podnieca? Złodzieje pana odwiedzili, zbójcy napadli, czy coś w tym rodzaju?

— Okradli mnie, złupili doszczętnie. Jeżeli nie odzyskam skradzionego mienia — będę zrujnowany, kompletnie zrujnowany.

— Niechże się pan uspokoi i opowie mi wszystko, jak należy. Kto jak kto, ale chyba jubiler musi być na takie ciosy przygotowany. Zbyt wiele kosztowności kryje się w pańskim mieszkaniu, w szafach i szufladach pańskich mebli...

— Czy mogę mówić w obecności tego młodego człowieka — wskazał jubiler z nieufnością na Toma Willsa.

— Ależ naturalnie. To mój uczeń i najlepszy przyjaciel — Mr. Wills.

— A więc niech pan słucha, Mr. Dickson. Okradziono mnie. Złodzieje zrabowali mi brylanty, wartości trzydziestu tysięcy funtów.

— Tam do licha! To wcale ładna sumka. Ale mnie raczej interesuje sam sposób kradzieży. Kiedy, co i jak, Mr. Pratt?

— Mamy dziś środę, nieprawda? Kradzież została najpewniej dokonana w nocy z poniedziałku na wtorek.

— I dopiero dziś komunikuje mi pan o tym, po dwudziestu czterech godzinach? Przecież to wieczność cała...

— Nie mogłem pana wcześniej zawiadomić, Mr. Dickson, bo sam nie wiedziałem o kradzieży. Dziś zajrzałem do mego stalowego pokoju i dziś dopiero stwierdziłem kradzież.

— Mr. Pratt, nabrał oddechu i począł opowiadać już bardziej szczegółowo:

— Brylanty te były w moim posiadaniu zaledwie od kilku tygodni. Przed z górą kwartałem odbyłem podróż do Rosji. Informowano mnie, że są w tym kraju wciąż jeszcze piękne kamienie, które nabyć można po stosunkowo niskiej cenie. Między innymi, doszło do moich uszu, że pewien kupiec w mieście Tuła, znany zresztą ze swych szlifierni diamentów, jedynych w całej Rosji, ma do sprzedania wspaniały diadem brylantowy.

Dotarłem do tego człowieka i już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że kamienie były najczystszej wody, że były starannie dobrane, choć trochę wadliwie oszlifowane.

Po tygodniu — ubiłem interes z owym kupcem. Nazywał się Rosikow. Brylanty, według moich wskazówek, miały być oszlifowane w samej Tule, po czym Rosikow miał mi je przywieźć do Londynu, gdzie dostałby czek na trzydzieści tysięcy funtów.

Przed czterema tygodniami Rosikow przyjechał i przywiózł mi pięknie oszlifowany diadem.

Wypłaciłem mu należność na miejscu.

Klejnotów o tak wielkiej cenie nie można sprzedać z dnia na dzień. Trzeba wyczekać odpowiedniej okazji. Trzeba natrafić na amatora.

Zamknąłem tedy futerał w skarbcu w opancerzonym pokoju.

— Kiedy to było?

— Przed czterema mniej więcej tygodniami. Zaglądałem do mego skarbu codziennie. Nie powiem, abym się obawiał kradzieży. Zaglądałem raczej aby mu się przyjrzeć. Któżby bowiem mógł się dostać do mego pancernego pokoju.

— Nasi włamywacze potrafią wszystko, Mr. Pratt, — rzekł Dickson z uśmiechem. — Czy istotnie jest pan taki pewny, że do pańskiego skarbca nikt dostać się nie zdoła?

— Jestem tego pewien najzupełniej. Zna pan przecież mój dom przy Bradford Street.

— Znam, to przecież rzecz jasna. Któżby w Londynie nie znał domu firmy Pratt i S-ka, jubilerzy nadworni?...

— Zauważył zatem pan wysoką wieżę?

— Nie tylko, że ją zauważyłem, ale niejednokrotnie zastanawiałem się, co też pan w tym górnym pokoju z małymi oknami robi... Teraz już wiem, z pańskich słów, że w tej właśnie wieży mieścił się ów skarbiec, ów stalowy, opancerzony pokój. Czy tak?...

— Tak jest! Tak jest! — potwierdził z żywością jubiler. — Zbudowałem specjalnie tę wieżę, aby mieć spokój, aby się nie lękać włamań. Miewam przecież często u siebie kosztowności wartości kilkuset nawet tysięcy!

Zauważył pan pewnie, że fasada wieży jest zupełnie gładka. Do mego okienka można się dostać chyba tylko przy pomocy wielkiej drabiny strażackiej... Ale tymi metodami chyba się jeszcze włamywacze nie posługują.

— O ile mnie jednak pamięć nie myli, okienko stalowego pokoju wychodzi na ogród a nie na ulicę.

— Ma pan doskonałą pamięć, Mr. Dickson.

— W jaki sposób zatem dostaje się pan do tego pokoju na wieży?

— W sposób wysoce skomplikowany, w sposób nawet tajemniczy. Oto mała winda, na dwie tylko osoby, prowadzi od mego pokoju sypialnego wprost do owego skarbca. Złodziej musiałby przejść przez moją sypialnię. A ja mam sen bardzo lekki. Jak zwykle ludzie w moim wieku.... Ale, żeby się dostać do sypialni, musiałby włamywacz przespacerować się przez cały mój dom, przez biuro, w którym czuwa w nocy dozorca, a w którym w dzień jest zawsze wielu interesantów.

Ale dajmy na to że wszystkie te trudności włamywacz pokonał i że znalazł się w windzie, że ją nawet uruchomił. Teraz jednak czeka go trudność największa. Oto wraz z naciśnięciem guzika windy włączony zostaje prąd u dzwonka alarmowego.

— To bardzo pomysłowe urządzenie, —rzekł z uznaniem Harry Dickson.

— Ostatni raz byłem w skarbcu w poniedziałek wieczór. Stwierdziłem obecność brylantów: leżały na swoim miejscu.

We wtorek miałem tyle zajęcia, że nie miałem kiedy zajrzeć do pokoju na wieży.

Dziś rano wreszcie pojechałem na górę wraz z mym synem. Pertraktujemy bowiem obecnie z księżną Cumberland i miałem jej zaprezentować diadem.

Wchodząc, stwierdziłem znów, że wszystko jest w porządku. Ale futerału z diademem nie było!

Chyba pan rozumie, że taka strata jest dla mnie kompletną ruiną! Cały trud mego życia — na nic! Toteż przybiegłem do pana, przede wszystkim do pana, Mr Dickson. Błagam pana o pomoc! Niech pan odnajdzie złodzieja i odbierze mu łup!

— Dobrze! — rzekł detektyw. — Jestem gotów. Czy samochód pana czeka? Jedziemy do pokoju na wieży.

Mr Pratt ruszył przodem.

— Prędzej, proszę pana! Prędzej!

— Tomku — zwrócił się detektyw do swego ucznia — idziesz z nami. Możesz mi się przydać. Naprzód!

Po kilku chwilach wszyscy trzej siedzieli już w samochodzie jubilera, mknącym jak najszybciej do domu przy Bedford Street.

Po drodze Dickson informował się o personel mr. Pratta.

Jubiler odrzucił wszelkie podejrzenia. Wszyscy pracownicy — to ludzie już od dawna wypróbowanej uczciwości, zresztą zaledwie paru z nich wiedziało o istnieniu samego skarbca.

Gdy już w domu mr. Pratta dążyli do windy — skonstatował Dickson, że istotnie tą drogą nie mógł się złoczyńca przedostać do skarbca.

— Czy schodów do stalowego pokoju nie ma w ogóle? — zagadnął detektyw jubilera.

— Nie, nie ma. I proszę nie zapominać o sygnałach.

— Istotnie — potwierdził detektyw — rozglądając się wokół. — Widzę, że nawet wejście do windy jest dobrze ukryte. Za tym lustrem, oczywista.

Mr Pratt uśmiechnął się.

— Ma pan oko, nie ma co! Od razu pan trafił w samo sedno. Ale chyba przyzna pan, że człowiek nie uprzedzony i nie Harry Dickson, tak łatwo do tej skrytki nie trafi...

— Zgadzam się z tym w zupełności.

Pratt nacisnął guzik, lustrzane drzwi w szafie obróciły się w zawiasach i ukazała się za nimi winda.

W całym domu rozległ się w tej chwili donośny dźwięk dzwonków.

Pratt zwrócił się do Dicksona:

— Tylko głuchy mógłby tych alarmów nie dosłyszeć... Więc chyba już teraz nie ma wątpliwości, że tędy złodziej do skarbca nie dostał się.

Winda zatrzymała się.

Jubiler otworzył drzwi pokoju skomplikowanym, ciężkim kluczem.

Dickson zatrzymał Pratta w progu.

— Niech pan pozwoli, że najpierw zbadam zamek. I ja wejdę pierwszy, a jedną chwilę tylko, jeśli łaska...

— Niech pan pozwoli, że najpierw zbadam zamek. I ja wejdę pierwszy, jedną chwilę tylko, jeśli łaska...

Przez lupę przyjrzał się detektyw zamkowi.

— Nie tknięty — rzekł. — Przez te drzwi nikt nie wchodził. To rzecz pewna!

— A teraz proszę zbadać kraty u okienka. Przecież już z daleka widać, że nikt ich nie tknął.

Dickson szarpnął mocno żelaznymi kratami.

Gdyby nie Tom, byłby się przewrócił. Bo oto kraty poddały się jego pierwszemu szarpnięciu i z nimi w ręku stracił detektyw równowagę, padając na wznak.

Pratt cofnął się przerażony:

— A zatem jednak tędy! Ale w jaki sposób? Czy tu ktoś dofrunął, czy co?...

— A dlaczego nie miałby fruwać?... Ma pan rację. Włamywacz umiał właśnie fruwać, umiał

w każdym razie wznosić się na znaczne wysokości.

Jubiler otworzył szeroko oczy.

— Nie rozumiem pana, nic nie rozumiem — bełkotał.

— Zaraz mnie pan zrozumie. Tomku! — zwrócił się Dickson do swego ucznia — czy masz przy sobie dzienniczek meteorologiczny?

— Tak jest, mistrzu. Prowadzę go sumiennie i nie rozstaję się z nim.

— W takim razie powiesz mi, jaką pogodę mieliśmy między godzinami szóstą a siódmą w ubiegły poniedziałek.

Detektyw wyjrzał przez okno na trawnik ogródka pod wysoką budowlą.

— Mam wrażenie, że padał wtedy deszcz.

— Co to ma do rzeczy?... Nic nie ro—zu—miem... — bełkotał dalej jubiler.

— Zaraz pan zrozumie wszystko. Już masz, Tomku?

Tom czytał ze swego kalendarzyka:

— Poniedziałek 6.05—6.40 — drobny deszcz. Tak jest, deszcz padał, mistrzu.

— Czy w ostatnich dniach nie stał na trawniku jakiś przedmiot większych rozmiarów, jak skrzynia, szafa, beczka lub t. p.

— Ależ nic podobnego, mr Dickson. Sam doglądam mego trawnika i twierdzę stanowczo, że nikt nie ośmieliłby się postawić nic podobnego na moim trawniku. Mój trawnik — to moja duma.

— A jednak. Tomku trzeba będzie wziąć wymiary. Na trawniku widać ślady bardzo wyraźne. Mniej więcej 130 cm na metr... Coś w tym rodzaju. Sprawdzimy te dane na dole. A tymczasem, może mi pan, mr Pratt, powie z łaski swojej, jaka jest wysokość tej wieży?

— 45 metrów — brzmiała odpowiedź.

— 45 metrów, powiada pan. To o dwa za mało ale to tym łatwiej... Tak, tak... Stary wróbel dał się nabrać.

Detektyw uśmiechnął się.

— Czego pan się śmieje?

— Śmieję się z tego, że dałem się wziąć na sentyment i że uwierzyłem w pewne bajki o żelaznym wilku. Opowiadał mi niedawno takie historie pewien bardzo zdolny człowiek.

Pratt znów począł bełkotać:

— Nic nie ro—zu—miem... Nic a nic nie zrozu—mia—łem...

— Zrozumie pan wszystko. Tymczasem nie traćmy czasu. Tomku, dajno ucho!

Dickson coś mu począł szeptać.

Po chwili Tom wybiegł jak strzała z pokoju.

— A teraz obejrzymy sobie ogródek na dole.

Zeszli szybko na dół.

— Pięknie utrzymany ogródek — rzekł detektyw, rozglądając się po trawnikach i po klombach. — Od strony ulicy cały mur porośnięty jest roślinami pnącymi.

— To moja specjalność, jestem w tych gatunkach specjalnie rozmiłowany sam ich doglądam. — chwalił się Mr. Pratt.

— Doprawdy? — uśmiechnął się detektyw. — I nie zauważył pan wcale, że ktoś tutaj potratował panu kwiaty?

— Rzeczywiście! — rozgniewał się jubiler. — Co to za bezczelność! Czy już w samym sercu Anglii człowiek nie znajdzie spokoju? I róże mi ktoś poobrywał!

— Tak jest. Skradli panu trochę róż i stratowali klombik, aby łatwiej skraść panu brylanty za trzydzieści tysięcy funtów. Właśnie w tym miejscu, — wskazał detektyw na wyraźne ślady, — przeszli złoczyńcy przez mur. Nawet zostawili po sobie jakiś skrawek materiału: róża ma ostre i twarde kolce.

— Złoczyńcy? — powtórzył Pratt. — Czyżby ich było kilku?

— Było ich dwóch, ani mniej, ani więcej.

— Sądzi pan, że uda się ich ująć?

— „Ich" już mi się ująć nie uda. Tylko jeden stanie przed sądem ludzkim. „Tamten" jest już na innym sądzie...

— A wie pan o nich wszystko, jak widzę?

— W każdym razie wiem nie jedno. Wiem między innymi, że jeden z włamywaczy przypłacił już życiem tę kradzież brylantów.

Dickson skierował się szybkim krokiem ku furtce.

— Już czas na mnie. Muszę się śpieszyć. Żegnam pana, Mr. Pratt.

Dickson prawie wybiegł na ulice.

Harry Dickson ma na wszystko sposób

Gdy Harry Dickson opuścił dom jubilera — biła godzina dziesiąta rano.

— W tej chwili muszę czekać, — mówił do siebie, ledwie dosłyszalnym szeptem, — słynny detektyw. — Muszę czekać na wiadomości od Toma. Ale przynajmniej wiem dokładnie, jak ta wielka kradzież została dokonana.

Dickson uszedł kilkanaście kroków mocno zamyślony.

— Ale ten Michajłow, — podjął znów ów monolog, — to szczwana sztuka! I pomyśleć, że doprawdy serdecznie współczułem temu nieszczęśliwemu opiekunowi i profesorowi, opłakującemu śmierć swego pupila... A ci republikanie i ta ich zemsta niezwykła!... Wszystko bajka, wszystko blaga najczystszej wody!

— Ale jak to było naprawdę... Zaraz sobie to wszystko ułożymy w głowie: Przed mniej więcej czterema miesiącami Mr. Pratt—jubiler, jeden z najbardziej znanych jubilerów Londynu — wyjeżdża do Rosji. Przybywa do Tuły, gdyż dowiedział się, że w tym właśnie mieście niejakiś Rosikow ma do sprzedania diadem z pięknych i doskonale dobranych kamieni...

— Dobrze... Co było dalej?...

Dickson zwolnił kroku i monologował po chwili w dalszym ciągu:

— Nasz jubiler londyński stwierdza, że kamienie oszlifowane są nie w jego guście. Pozostawia je zatem u owego Rosikowa, który ma dopilnować, aby szlifierze tamtejsi zmienili szlif...

O całej tej sprawie dowiadują się aferzyści, złodzieje, włamywacze, czy coś w tym rodzaju...

Dajmy na to, że człowiek, który na ich czele stanął, nazywa się Michajłow. Najpewniej dowiedzieli się o tym dla tego, że Rosikow się wygadał. Bo nasz Pratt gadatliwy nie jest...

Kamienie zostały wreszcie po raz drugi oszlifowane i nasz Rosikow jedzie do Londynu. Może sobie

ten kupiec z Tuły powinszować, że nie został napadnięty i obrabowany w drodze. Bo ci bandyci napewno ruszyli za nim. Ale widać w drodze nie mieli odpowiedniej okazji.

Rosikow dostarczył kamieni Prattowi. Ten umieścił je w niedostępnej wieży swego domu. Ale Michajłow ma głowę na karku nie od parady. Zdobywa sobie pomocnika w osobie zawodowego akrobaty, i to akrobaty nie byle jakiego. Michajłow jest doskonałym mechanikiem. Aby się dostać do wieży trzeba mu było skrzydeł, albo choćby aparatu, któryby jego pomocnika wyrzucał na znaczne wysokości. Taki aparat Michajłow skonstruował. Nie zapominajmy, że Miss Mercedes unosiła się na wysokość 47 metrów. W tym wypadku wysokość była nieco inna, ale to było kwestia ustawienia aparatu. Tylko w jaki sposób mógł się Michajłow dowiedzieć o miejscu przechowania diademu?...

Nie bacząc na ruch na ulicy, Dickson zatrzymał się i uderzył się w głowę...

— Tam, do licha! Pratt musiał jednak powiedzieć koledze po fachu — Rosikowowi, jaki to wspaniały skarbiec posiada. Chciał się poprostu pochwalić... A teraz dalej... Rosikow najpewniej opowiedział o wszystkim Michajłowowi. Jeżeli mu opowiedział, to dla tego, że miał do niego zaufanie, że uważał go za człowieka niezdolnego do popełnienia przestępstwa, że Michajłow i Rosikow to...

Detektyw ruszył biegiem. Dopadł dosłownie do najbliższego urzędu pocztowego i przy pulpicie wypisał depeszę tej treści:

„Policmajster miasta Tuły.

Podajcie informacje o jubilerze Rosikow. Czy godzien zaufania? Gdzie jest w tej chwili? Poufne. Odpowiedź pana opłacona.

Detektyw Dickson — Londyn"

— Proszę przyjąć tę depeszę jako pilną.

— Płaci pan trzykrotną taryfę.

— Proszę bardzo. Czy depesza zaraz odejdzie?

— Oczywista. Już ją nadajemy.

Urzędnik wstał i skierował się do sąsiedniego pokoju, gdzie stukały aparaty Hughesa.

Na ulicy Dickson zatrzymał taksówkę:

— Do cyrku Chiniselliego!

Dyrektor i reżyser cyrku byli mu bardzo radzi:

— Cieszę się, że pan się do nas pofatygował, — powitał go dyrektor. — Może dowiemy się czegoś w sprawie tak strasznej zbrodni. Najlepsza atrakcja — na nic... Szkoda, bardzo szkoda. I szkoda tego młodego życia.

— Szkoda niewątpliwie, — rzekł detektyw. — Ale pozwoli pan, że mu postawie kilka pytań.

— Słucham pana.

— Czy Michajłow już zerwał z panem wszelki kontakt?

— To rzecz jasna... Przecież nie on był osią numeru, tylko ten młody człowiek. Clowna nie potrzebuję. Mam lepszych niż on.

— A aparat, czy już zabrany?

— O tę szafę pan pyta? O katapultę?

— Tak jest.

— Nie wydaje mi się, aby jeszcze u nas była. Zresztą zaraz się przekonamy. Jakie ma pan wiadomości, — zwrócił się dyrektor do reżysera.

— Zaraz się dowiem u inspicjeta, — rzekł reżyser, wybiegając z gabinetu.

Po chwili reżyser przybył z niemłodym już człowiekiem o inteligentnym wyrazie twarzy.

— Mr. Brown powiedział mi przed chwilą, — meldował reżyser, — że skrzynia została zabrana przed kilku zaledwie godzinami.

— A to dziwne, — zauważył raczej do siebie detektyw. — Czy szafa, lub skrzynia, jeśli panowie wolą, była ciężka?

— Nie, wcale nie była ciężka. I właśnie to nas dziwi bardzo. Przecież mechanizm, który zdolny jest wyrzucić na znaczną wysokość dorosłego człowieka musi coś ważyć!

— Bardzo słuszna uwaga, — potwierdził Dickson. —

— A jednak, właśnie przed kilku godzinami jeden, jedyny człowiek szafę wyniósł. Dał sobie sam jeden doskonale radę.

— Widać maszyna nie jest duża ani ciężka, — rzekł bez przekonania detektyw. — Czy nie zauważyli panowie jak ów człowiek wygląda który przyszedł po tę maszynę.

— O, pod tym względem sprawa była szczególnie łatwa. Proszę sobie wyobrazić śniadolicego Araba, odzianego, jak ci natarczywi handlarze dywanów i różnych świecidełek: w fezie na głowie, szerokim burnusie, który może kiedyś był biały i bardzo słabo mówiącego po angielsku.

— Mówił słabo po angielsku. To bardzo ciekawe. Czy nie był mniej więcej tego wzrostu co nasz Michajłow?...

— Owszem. Choć może był trochę niższy.

— To efekt szerokiego burnusa, — rzekł jakby sam do siebie detektyw.

— Czyżby pan uważał, Mr. Dickson, że to był... Michajłow?... — szepnął dyrektor.

— O nie, zupełnie nie, — zaprzeczył z żywością detektyw.

— Chociaż, — dodał inspicjent, — zauważyłem jedną rzecz, która mnie zdziwiła. Niby to ten Arab nic nie rozumiał, niby to ledwie mówił po angielsku, a w dwóch słowach zrozumiał, dokąd się skierować po skrzynię. A przecież każdy przyzna, że od mego pokoju do pomieszczenia, w którym stała skrzynia, droga jest dość skomplikowana.

— Jakby już znał tę drogę? Takie pan odniósł wrażenie? — informował się Dickson.

— Tak jest, — potwierdził detektyw. — Właśnie takie odniosłem wrażenie.

— Pozwolą panowie, że postawię jeszcze kilka pytań. Przez te dni od zabójstwa, to jest przepraszam, od wypadku księcia Borotina do dzisiaj, czy szafa znajdowała się w pomieszczeniu zamkniętym?

— Oczywista, — oświadczył inspicjent.

— A gdzie panowie tę skrzynię przechowywali?

— W pokoju, zajmowanym dawniej przez miss Mercedes.

— A kto miał klucz od tego pokoju?

— Naturalnie pan Michajłow. Któżby go miał mieć?

— Zatem w nocy nikt nie mógł tego aparatu wykraść, jak tylko sam Michajłow. W każdym razie Michajłow miałby zadanie takie szczególnie ułatwione.

— Wykraść, wśród nocy?... A to poco? — dziwił się dyrektor.

— A no poprostu... choćby dlatego, aby go naprawić. Gdyby ktoś inny chciał maszynę wykraść, czy miałby łatwe zadanie.

— Wcale nie łatwe, — odparł inspicjent. — Ja jestem również intendentem. Mam pod sobą ludzi, którzy czuwają nad cyrkiem. Trzech dozorców strzeże cyrku w nocy. Każdy, kto by wynosił taki duży mebel, musiałby się poprostu otrzeć o naszych dozorców.

— Czy nie możnaby tych dozorców sprowadzić?

— Oczywiście, — odparł reżyser.—Akurat przyszli po wypłatę.

Trzej ludzie, o twarzach wzbudzających zaufanie, trzej uczciwi robotnicy angielscy zjawili się w gabinecie dyrekcji, mocno zaniepokojeni nagłym wezwaniem.

Detektyw zaczął odrazu od rzeczy:

— Czy kto z panów widział w nocy z poniedziałku na wtorek człowieka, który z cyrku wynosił skrzynię, należącą do clowna Michajłowa?

— Ja sam go widziałem, — oświadczył jeden z dozorców. — Na własne oczy go widziałem. Wiedziałem poza tym, że ta skrzynia to jego własność.

— Więc to Michajłow wynosił skrzynię?

— Tak jest. Jeszcze mu proponowałem, że mu pomogę ją przenieść, ale mi powiedział że jego wóz czeka tuż obok. Dodał, że się coś w maszynie zepsuło i że musi zanieść cały aparat do reperacji. Dał mi szylinga i sprawa była załatwiona.

—Rzeczywiście, — zauważył Dickson nie bez lekkiej ironii, — sprawa była załatwiona. Bardzo panom dziękuję.

Gdy Dickson wracał do siebie — dochodziła dwunasta.

— Mrs. Crown, — alarmował detektyw swą gospodynię od proga. — Proszę szykować jaki taki obiad. Głodny jestem, aż strach, a czasu mam mało...

Zaledwie Dickson przełknął obiad i zapalił fajkę, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Tom.

— Pewnieś głodny jak wilk. Siadaj do stołu! Prędzej!

— Powiem najpierw czegom się dowiedział.

— Słucham cię.

— Wiem, gdzie się podziewa nasz profesor Michajłow.

— Więc mów-że prędzej. Założę się, że się ukrywa w dzielnicy arabskiej, koło portu.

— Już pan wie? — skrzywił się Tom. — Więc poco ja się tak namęczyłem.

— Nie zrażaj się, chłopcze. Mów gdzie jest ten Arab w brudnym burnusie i w czerwonym fezie. Mów...

— Skąd pan wie o tym wszystkim?

— Wiem, bo mam oczy i uszy i umiem myśleć logicznie. Dotarłeś do hotelu tego pana?

— Owszem, dotarłem. Ale ptaszek już wyfrunął.

— Spodziewałem się tego. I co dalej?

— Rozmawiałem z portierem hotelu. Michajłow miał zamiar pozostać w Londynie przez czas dłuższy, ale potem rozmyślił się, oświadczył, że dostał depesze z Rosji i że wyjeżdża pierwszym pociągiem do Duwru.

— Kiedy to było?

— Dziś rano o siódmej. O ósmej wyjechał. Taksówka podjechała po niego pod hotel.

— Jakie miał bagaże?

— Nic, tylko jedną walizkę.

— I kazał się wieźć na dworzec?

— Nie inaczej, mistrzu.

— Jakżeś zatem go potem odnalazł?

— Przez przypadek, przez zwykły przypadek.

— Próbowałem jeszcze coś wydobyć od portiera hotelu, gdy nagle ten sam szofer podjechał pod hotel i dopytywał się o Michajłowa.

— „Gdzie jest ten jegomość, — irytował się szofer. — Wyskoczył mi po drodze, niedaleko Victoria Station. Prawda, że za kurs zapłacił zgóry, ale wybił mi szybę. Gdzie jest ten podejrzany typ, który wyskakuje w biegu i szyby tłucze — krzyczał szofer."

— Szofer powiedział mi, że Michajłow musiał wyskoczyć koło Tower Street. Pojechałem tam czym prędzej. Pytałem tego i owego, czy nie widział człowieka, wyskakującego z taksówki. Gazeciarz, policjant i kilku zamiataczy miejskich widzieli go. Szedł z dużą walizką ku dzielnicy arabskiej.

Tutaj już było trudniej coś wybadać, bo im było bliżej tej dzielnicy, tym ludzie mniej byli rozmowni.

Ale na szczęście trafiłem na małego Jussufa.

— Na naszego przyjaciela Jussufa ben Ali? Arabskiego sprzedawcę fistaszek?

— Właśnie. Powiedziałem mu, że ma okazję, aby zarobić parę szylingów.

— Parę szylingów, — uśmiechnął się. — Panie, jeżeli ja taką sumę zarobię, to przynajmniej przez tydzień nie będę handlował tymi przeklętymi fistaszkami, — oświadczył mi bardzo uradowany.

— Nie widziałeś takiego a takiego jegomościa,— pytam go.

— Widział go. Wszedł do domu Omara, do domu Omara - Cudotwórcy, tego sławnego znachora arabskiego, który taką konkurencję robi lekarzom w tamtej dzielnicy. Ale mały Jussuf powiedział mi rzecz, bardzo ciekawą, a mianowicie że ten Omar wcale nie jest Arabem, chociaż mówi po arabsku. Pochodzi podobno z Rosji, i bardzo dobrze leczy.

„Chłop ma szczęście, — mówił Jussuf, — przyjechał przed paru laty z jakiejś tam Tuli czy Kuły i jest teraz znany, jako najlepszy lekarz.

Kazałem się zaprowadzić do tego domu. Jussuf trochę się lękał i kazał mi iść w znacznej od siebie odległości. Gdyśmy podchodzili do tego domu na Broadstreet, koło portu, ukazał się w progu Omar i jeszcze inny, taki sam jak on Arab. — Był to Michajłow, odrazu go poznałem.

— Doskonale, Tomku. Pracowałeś rzetelnie. Pójdziesz ze mną razem. Pora już, by ten pan znalazł się za kratkami.

W tej chwili weszła do pokoju Mrs. Crown

— Depesza do pana.

— Wiem, — rzekł Dickson do Toma, co w tej depeszy znajdę. Nasz morderca i złodziej nazywa się Rosikow. Mieszka w Tule.

Zaraz zobaczymy co donosi pan naczelnik policji z Tuły:

„Rosikow dobrze znany jubiler. Cieszy się szacunkiem. Obecnie w Londynie.

Iwanow — policmajster".

Tak brzmiała depesza.

Treść jej nie była dla detektywa niespodzianką.

W domu szarlatana

Tegoż wieczora ktoś zapukał do drzwi domu „Omara - Cudotwórcy".

Wysoki, zgarbiony o twarzy wychudłej i złym spojrzeniu czarnych oczu, dziobaty i brudny—Omar wyglądał jak niebezpieczny zbój.

— Kto tam! — padło pytanie.

— To ja, Jussuf.

— Czego chcesz, bandyto młodociany. Poco się tu pętasz?

— Przyprowadzam do najlepszego doktora w Londynie człowieka chorego, który morze przepłynął, aby się u ciebie leczyć, Cudotwórco!

— Niech wejdzie, — burknął rzekomy Arab niechętnie.

— Bon soir! — rzekł przybysz po francusku.

— Francuz? — zapytał Omar. — Do mnie przyjeżdża pan z Francji? To o mnie we Francji też wiedzą?

Nieznajomy mówił kiepską angielszczyzną z mocnym francuskim akcentem.

— Tak, tak. Ja przyjechał z Francji. Tam też wiedzą, że Omar jest Cudotwórca, że doskonały lekarz.

Rzekomy Arab powiódł wzrokiem po gościu i po Jussufie.

— A ten mały piekielnik czego tu chce?

— Młody Jussuf prosi o pozwolenie pozostania przy mnie. Pomaga mi. To dobry chłopak, który staje się ostatnio codzień lepszy.

— Dla czego nasz francuski gość nie zatrzymał się w hotelu?

— Jestem za bardzo chory, aby zostać w hotelu. Tylko w pobliżu Omara Cudotwórcy będę się czuł bezpieczny. Ja płacę, ja mam pieniądze. Ja proszę tu zostać.

— To będzie kosztowało dwa funty za jedną noc, takie nocowanie. I wygód u mnie nie ma. Czy się gość zgadza?

— Zgadzam się.

— Jak się pan nazywa, — rzekł już grzeczniejszym tonem Arab, ujrzawszy dobrze wypchany portfel nieznajomego.

— Nazywam się Armand Breton. Mieszkam w Lyonie. Zdaje mi się, że choruję na nerki. Tak przynajmniej mówią lekarze francuscy, ale ja im nie wierzę.

— Dobrze. Chodźcie za mną. Proszę dać kapelusz.

Breton chciał cofnąć już wyciągniętą ku Omarowi rękę z kapeluszem. Kapelusz był bowiem londyński a inicjały wcale nie odpowiadały nazwisku Breton i imieniu Armand. Ale już było za późno. Omar wziął kapelusz. Czy spojrzał do środka?...

Dickson — gdyż on to był właśnie — nie zauważył tego. Był jednak już stale w napięciu. Popełnił błąd, że nie wziął innego kapelusza bez inicjałów.

Szli po skrzypiących i spróchniałych schodach zaniedbanego wreszcie w małej izbie, nędznie umeblowanej.

— Tutaj się pan Breton przespi do rana. A Jussuf pójdzie na dół. Wystarczy zapukać w podłogę, a już się zjawi. On będzie spał w korytarzu pod tym pokojem.

— Bardzo dziękuję. Grand, merci, monsieur Omar. Jutro mnie pan uzdrowi, jestem tego pewien, — rzekł rzekomy Francuz i siadł na kulawym krześle, aby zdjąć kamasze.

Jussuf wyszedł z Omarem.

Uszli zaledwie kilka stopni w dół, gdy rzekomy Arab zwrócił się do Jussufa syczącym szeptem:

— Kogoś mi sprowadził! Mów! Skąd się ten człowiek tutaj wziął?

— Spotkałem go. Szukał lekarza. Mówił, że jest chory. Byłem z nim przez cały dzień. On jest naprawdę chory i jest Francuzem.

— Francuz, — powiadasz! Ładny Francuz! Ma londyński kapelusz. Powiada, ze się nazywa Armand Breton a ma litery w kapeluszu H. D. Mów co to za jeden. Ukrywasz coś przede mną pętaku jeden. Mów, bo cię zaduszę!

I chude mocne palce zawarły się u wątłej szyi chłopaka.

— Na pomoc! — charczał chłopak. — Duszę się! Puść! Powiem wszystko! Wszystko powiem!

Omar rozluźnił uścisk.

— Mów!

— Ten człowiek... szuka... drugiego... Araba z walizką — dyszał ciężko Jussuf. — To Harry... Dickson.

Oczy Omara zabłysły dzikim blaskiem.

Wyciągnął z kieszeni długi postronek i począł krępować chłopaka, a do ust wepchnął mu gałgan.

— A teraz kolej na Dicksona! — warknął Omar.

Wyszedł na balkon nad wodą, przystawił drabinę do muru swego domu i wszedł po niej na dach. Znalazł się koło otworu, zamkniętego na małe drzwiczki i zapukał trzykrotnie.

— Otwórz, Rosikow, to ja! — rzekł rzekomy Omar po rosyjsku.

— Co się stało? — padło pytanie od wewnątrz.

— Dickson jest w domu!

W drzwiach ukazała się głowa Michajłowa.

— Jesteśmy zgubieni!

— Nie damy się! Pierwej on zginie, nim nas zgubi. Idziemy razem. Jest nas dwóch, a on jest jeden. Tamiza jest tuż, pod balkonem.

— Masz rację, — rzekł Michajłow, nabierając odwagi.

Postanowili zaatakować go zaraz, podczas snu. Ugodzili się, że Omar dostanie za tę przysługę tysiąc funtów.

Oba przewidzieli wszystko, tylko nie dostrzegli małej łodzi, która, gdy tylko zniknęli w domu — przybiła do brzegu.

W łodzi siedział Tom Wills, który czekając na sygnał swego mistrza, słyszał każde słowo ze zbrodniczego planu łotrów.

Tom słyszał dalej jak mówił Omar.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

— Zaraz pokażę ci tego Francuza... Znasz przecież Dicksona i od razu chyba go poznasz. Pogadam z nim, grzecznie z nim pogadam, chociaż to mnie będzie bardzo dużo kosztowało i powiem mu, żeby się zaraz położył. Zresztą, może on już leży Potem z nim się załatwimy.

Tom słyszał i te słowa. Powiedział sobie, że będzie działał na własną rękę. Za mało było czasu aby wezwać policję.

Bez trudu dostał się do przedpokoju. Gdy tylko zrobił krok — dobiegł go zduszony szept.

— Omar, nie zabijaj mnie... To nie moja wina...

— Jussuf, — ucieszył się szczerze Tom. — Już jesteś wolny, wstawaj. Będę potrzebował twej pomocy.

Tom rozciął jego więzy.

— Nasz kochany Omar dostanie w swoją czarną skórę, aż mu się prababka przyśni. Idziemy!

Na palcach podeszli do pokoju na górce, gdzie spał Dickson.

Omar rozmawiał istotnie bardzo uprzejmie ze swym gościem i radził mu się położyć.

— To dla zdrowia potrzebne. Mówię to jako lekarz. Niech pan się położy, monsieur Breton.

Omar skierował się ku drzwiom. Trzymał rękę na klamce, gdy detektyw dosłyszał lekkie pukanie do drugich drzwi.

Przez chwilę nadsłuchiwał — potem zrozumiał. To pukał Tom Wills. Umownymi uderzeniami sygnalizował wyraźnie:

— Uwaga! Uwaga! Grozi niebezpieczeństwo Zaatakują!

Teraz detektyw próbował jeszcze przez chwilę zatrzymać swego gościa.

— Serce mnie boli, doktorze-cudotwórco. Co mam zrobić? Może mnie słynny Omar zbada?

— Możeby tak jutro? Bardzo boli?

— Bardzo.

— No to zaraz zobaczę.

Omar zbliżył się i przyłożył rękę do serca rzekomego chorego.

W tej samej chwili na szczękę złoczyńcy spadła potężna pięść Dicksona.

Omar bez jęku zwalił się na podłogę. Tom był już w pokoju.

— Tamten jest obok. Czeka na sygnał Omara, aby pana zaatakować, — szeptał Tom.

— Tym lepiej. Położę się na kozetce, a Jussuf powie: — Naprzód!

— Ja już się z tym Michajłowem rozprawię.

★

Sztylet Michajłowa zabłysnął nad piersią Dicksona. Ale w tej samej chwili potężna dłoń detektywa ujęła jego kiść stalowym uściskiem.

— Oto twój koniec, Rosikow, — rzekł Dickson.

Rosjanin próbował się szarpać, Ale Tom i Jussuf szybko go obezwładnili.

★

Rewizja w domu fałszywego lekarza dała rezultaty: brylanty Mr. Pratta znalazły się.

Pratt poznał w Michajłowie Rosikowa. Ten ostatni, niegdyś znany jubiler pragnął zdobyć wspaniały diadem, który sam sprzedał swemu angielskiemu odbiorcy. Ukartował wobec tego historię z Miss Mercedes, angażując w tym celu młodego akrobatę.

Pratt po królewsku wynagrodził detektywów. Jussuf został oddany do szkoły.

★

Przed ponurym gmachem sądu przysięgłych w Old Baley tłoczyły się tego dnia tłumy gawiedzi od wczesnego poranku. Kilku rosłych „bobbies" — policjantów londyńskich — traciło już swój zwykły dobry humor i wyrozumiałość: ludzie za bardzo się pchali i za nic nie chcieli ustąpić sprzed gmachu sądu.

Tłum czekał na coś. Raz po raz jakaś głowa wychylała się w tę stronę, skąd miał nadjechać samochód więzienny, wiozący oskarżonego i jedyny w swoim rodzaju dowód rzeczowy: maszynę Rosikowa do wystrzeliwania ludzi.

Ta maszyna była przedmiotem szczególnego zainteresowania ze strony tłumów.

Aż oto nagle przez tłum przeszedł szept — zrazu ledwie dosłyszalny, potem coraz donioślejszy i tak, wzmagając się stale, przeobraził się ów szept wreszcie w okrzyk:

— Wiozą! Wiozą!

Istotnie. Przed boczną bramą, wiodącą na dziedziniec sądowy, zatrzymały się dwa wozy: jeden w rodzaju autobusu, ale z bardzo małymi okienkami — wiozący oskarżonego, drugi zaś — zwykły wóz ciężarowy, załadowany był ową machiną w kształcie szafy.

Fala ludzka rzuciła się ku tym dwum samochodom. Zagniewani konstable silnie naparli na tłum, pragnąc go rozproszyć, ale w tej samej chwili brama dziedzińca sądowego otworzyła się i oba samochody znikły.

★

Wstęp na salę rozpraw był dla zwykłych śmiertelników niemożliwy. Tylko przedstawiciele pism największych i reporterzy-fotografowie znaleźli się w niewielkiej sali starego londyńskiego gmachu sądowego. Ponadto nie więcej niż dwieście osób, posiadających specjalne zaproszenia, zasiadło na ławach dla publiczności.

Rosikow przyznawał się do wszystkiego. Z prawdziwą rosyjską wylewnością, nie pytany, opowiadał jak poddał się demonowi chciwości i jak zapragnął koniecznie posiąść klejnoty już raz sprzedane.

Ten człowiek kajał się prawdziwie, bił się w piersi i w tym, co mówił, wyczuwało się wielką szczerość.

Między innymi mówił Rosikow, że życie mu nie miłe, że pragnąłby tylko śmierci.

I w tych słowach była nuta szczerości.

Wreszcie przeszedł prezes trybunału do sprawy owej katapulty, t. j. machiny, wyrzucającej akrobatę.

Przewodniczący: — Dlaczego imał się oskarżony aż tak niezwykłych środków, by dojść do celu, t. j., by zdobyć owe klejnoty.

Na to odparł Rosikow:

— Miałem z początku plan bardzo prosty. Starałem się okraść Pratta w pociągu, gdy wracał z Rosji do Anglii, ale mi się to nie udało. W ten sposób dotarłem aż do Londynu, a klejnotów nie zdobyłem. Dowiedziałem się potem, że je Pratt zamknął w rodzaju wieży. Wtedy przypomniałem sobie me chłopięce marzenia: zamierzałem zostać inżynierem i „maszyna do wystrzeliwania ludzkich pocisków" — była moim pierwszym wynalazkiem.

Ten wynaalzek zrealizowałem w Londynie.

Przewodniczący: — Czy oskarżony może nam podać zasady konstrukcji maszyny?

Rosikow: — Najchętniej. Czy wolno mi do niej podejść?

Prezes zezwolił.

Rosikow podszedł do maszyny. Otworzył coś na dole, nakręcił jakieś rączki i rzekł:

— Wystarczy tutaj nacisnąć...

To mówiąc Rosikow oparł głowę o ścianę skrzyni.

Rozległ się lekki huk, jakby ktoś słabo uderzył w bęben.

I nagle coś wyskoczyło z maszyny.

Rosikow, odrzucony o kilka metrów, z rozpłataną czaszką padł u stóp stołu sędziowskiego.

Oskarżony sam sobie wymierzył sprawiedliwość.

KONIEC.

Cud techniki nowoczesnej

Automat-Pistolet „Grom" kal. 6 m/m —

jest uznany przez znawców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski, pięknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem automatycznie wyrzuca gilzy. Huk kolosalny. Wykonanie luksusowe. Rękojeści wykładane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6.95. Dwie sztuki zł. 13.50. Setka naboi system „Flobert" zł. 3.65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adresujcie: Przedst. Fabr. Pistoletów

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2

Warszawa I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

Czarna i biała magia

Każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Połykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Śpiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarną Magią różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. — Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK oddz.

Warszawa I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy książkę p. t. „Poznaj siebie i bliźnich!!!" Jak wróżyć z ręki i z palców, najnowsze sposoby wróżenia.

PALACZE TYTONIU

Ratujcie zdrowie
Nikotyna zatruwa organizm

Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-ch godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „IDEAL", a ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „IDEAL" daje możność zaciągania się i oddziaływa zbawiennie na błonę śluzową nosa i gardła. „IDEAL" wzmacnia i krzepi organizm, dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych. — Cena zł. 2.45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płaci się przy odbiorze. Wysyłamy na listowne zamówienie

Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2

Warszawa I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

Następny **Nr. 66 Harry Dicksona,**
który ukaże się we wtorek, dn. 11-go kwietnia
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

UPIÓR TAMIZY

CENA 10 GR. CENA 10 GR.

20.IV.1939

HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się, w niezrównanej jego sztuce przebierania się,** nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą, swym głosem, a nawet swym wzrostem** — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym.**

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

1. „WYSPA GROZY"
2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY"
3. „ALARM W PRZESTWORZACH"
4. „DOM NA MOCZARACH"
5. „LUDZIE BEZ ADRESU"
6. „SZALONY BURMISTRZ"
7. „GRAJĄCA WIEŻA"
8. „KRÓL NOCY"
9. „POSĘPNA KABAŁA"
10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ"
11. „KORONKI KRÓLOWEJ"
12. „KAPIANKA OGNIA".
13. DOM, W KTÓRYM STRASZY
14. ŻYJĄCY BUDDA
15. WIDMO TUŁACZA
16. SKRADZIONY TESTAMENT
17. DUCH ŚWIATŁA
18. CZERWONA DAMA
19. MIASTO PIRATÓW
20. POSTRACH LONDYNU
21. TAJEMNICA ŁODZI PODWODNEJ
22. NIEBIESKI BOCIAN
23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.
24. HAWAJSKI SZTYLET.
25. WOSKOWE JABŁKO
26. WIELKA GRA.
27. HOTEL EMIGRANTÓW.
28. KRWAWY KLEJNOT
29. SZTUCZNE ZŁOTO.
30. CZARNY MŚCICIEL.
31. KSIĘŻYC BIRMAŃSKI.
32. POŻAR W MIASTECZKU.
33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG.
34. WILKOŁAK.
35. GWIAZDA POLARNA.
36. KWADRATOWE OKNO.
37. WODNY CZART.
38. DUCH W ZAMCZYSKU.
39. UPIÓR W TEATRZE
40. DEMON WIATRU.
41. SOBOWTÓR.
42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC.
43. DANCING NA BŁOTACH.
44. PRZEDZIWNY HOTEL.
45. SREBRNA MASKA
46. SIEDEM KRZESEŁ.
47. DIABELSKI SKARB
48. KAT LONDYŃSKI.
49. CZERWONY SUŁTAN.
50. PRZYGODA MALAJSKA.
51. SYNOWIE NOCY.
52. KRÓL ŻELAZA.
53. WALKA W TUNELU
54. ZBRODNICZY AUTOMAT
55. TAJEMNICA PROFESORA FOXA
56. W PIASKACH SAHARY
57. DWANAŚCIE SERC
58. ŻYWY PORTRET
59. ZAMEK NA SKAŁACH
60. BAL MASKOWY
61. TRAGEDIA STAREGO RODU
62. CZERWONY SMOK
63. SKRADZIONY WYNALAZEK
64. FAŁSZYWY KROK.

Czytajcie Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena 10. **Cena 10.**

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Łosiew, zamieszkały w Łodzi.
WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika" Sp. z ogr. odp. —Odbito w drukarni własnej. Łódź. ul. Piotrkowska 49 i 64.
Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49. tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

1939.E.o.7645.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001024366357

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
623405/65